Tom XII. Nr. 3.
21. stycznia 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Kmieca dola — dobra dola.

Nabywał ja się dosyć między ludźmi i nasłuchał przeróżnych gadań co niemiara, ale przekonałem się, że nic tak rzadkiego na świecie, jak to, aby człowiek kiedy był rad ze swego stanu. Zawszeć się tam każdy skarzy i lamentuje: „Źle mnie na świecie, bodajto być w takiej doli, jak Józef albo Tomasz albo Grzegorz!“ I zawsze jeden drugiemu zazdrości — a nie zważy, że każdy człowiek i każdy stan ma swoje frasunki i utrapienia. Oj niejeden, co zazdrości drugiemu, nie zazdrościłby pewnie, gdyby wiedział, jakie ten człowiek ma ciężkie umartwienia. A już to najwięcej my kmiecie, ludzie od pługa i pracy, wyrzekamy na nasz stan i gotowiśmy przysiądz, że kto tylko ma czarną surducinę, to już korcami ma szczęścia w życiu. Alboż to nie jeden z nas nic nie ma w gębie, jeno zawsze to głupie gadanie: „Czemu ja się panem nie urodził, toć ja taki dobry jak drugi, czemu ja muszę pracować, a pan sobie żyje w rozkoszy.“ A toć najpierw powiem ci na to, że to czysta zazdrość i kwita. A każda zazdrość grzechem jest. Kiedy

ci pan Bóg kazał się rodzić wieśniakiem, to bądź wieśniakiem. Zacny to stan, ten kmiecy stan, i ani na honorze ani na uczciwości żadnemu pańskiemu nie ustąpi. Alboż to pan nie pracuje, albo nie ma kłopotów? Ej bratku, ano kto wie, czy byś się z nim pomieniał, gdybyś wiedział, jaka to ciężka nieraz praca i jakie ciężkie utrapienia tego pana, co mu zazdrościsz?...

To też ja i scierpieć nie mogę takiego gadania i nieraz już nie jednemu na rozum wyłożyłem, że się nikomu zazdrościć nie godzi. A jedną taką rozmowę powtórzę wam tu całkowicie. Jestem sobie furman i najmuję się z częsta na daleką jazdę, toć i po drodze człek z niejednymi ludźmi się spotyka.

Razu jednego jechałem przez wieś jedną i aby koniom wytchnąć stanąłem pod karczmą. Wszedłem do izby i pochwaliłem jak się godzi Pana Jezusa po polsku. W karczmie było kilka gospodarzy i parobczaków. Powitali się ze mną po ludzku a jeden mnie zapytał:

— A zkąd Bóg prowadzi? bo widzę po ubiorze i uprzęży że zdaleka.

— Opowiedziałem, zkądem z rodu i z zamieszkania, i siadłem z gospodarzami do stołu. Kazałem sobie zagrzać piwa i dać kartofli ze śledziem, bo to była sobota, którą zawsze nawet w drodze obserwuję na cześć Najświętszej Maryi Panny.

— I cóż tam słychać gospodarzu? — zapytał mnie włościanin mający jak mi się widzi około lat pięćdziesięciu, bo już dobrze był szpakowaty — co u nas, to kiepsko, pracuj i pracuj a zawsze bieda. Choć to człowiek teraz więcej niby ma niż się spodziać mógł a i tak jakoś jeszcze niekoniecznie dobrze. Spojrz na pana, tò aże zazdrość, nic nie robi, a ma i dziś jeszcze wszystko od złota i srebra.

Spostrzegłszy że mam z gadułą do czynienia, co się wygadać potrzebuje, milczałem, on zaś ciągnął rzecz dalej w ten sens:

— Nieraz się to człowiek nasłucha w kościele, że wszyscy równi przed Bogiem, a za kościołem wcale co innego, ten w bławatach ów w płachcie, ten w karecie ów na wozie, albo gorzej bo piechotą; ten przy pługu, tamten na wygodnem krześle przed kawałkiem papieru się rozsiada skrobiąc po nim

piórem, i tyle jego roboty! Żebym jeno mógł, to jabym tu wcale inny porządek zaprowadzi!

Widząc, że narzekania mojego sąsiąda zaczynają się wyczerpywać i że nie przeszkodziwszy mu, mogę się ozwać, tak zacząłem.

— Jać bracie nie tutejszy, rozumu was uczyć nie przyjechałem, ale każdemu się godzi myśl swoją, jeżeli nie grzeszna, wydawać; więc wam powiem, że nieraz ja sobie nad tem głowę suszyłem i nie z jednym się o tej rzeczy gawędziło, ale najlepiej mnie jakoś uspokoił stary ogrodnik będący na łaskawym chlebie w naszym dworze, który mi nieraz powtarzał: że ponieważ Bóg wszystko widzi i każdą rzecz na dobro człowieka obraca, więc też wszystko co się na świecie dzieje, prędzej czy później ludziom na dobre wyjść musi, a sprawiedliwość także nie chybi, bo ją Bóg ludziom wyrządzi. Mając tę prawdę raz już w głowie, zacząłem myśleć i wyszukiwać tego obiecanego dobra, bo mi się ta mowa ogrodnika Macieja jakoś nie zupełnie zdawała prawdziwa, i zrazu pomyślałem sobie, że dziadowina na starość bredzi; ale widocznie, że jak Pan Bóg chce kogo oświecić to mu poda sposobność do tego, tak też i mnie, wiele razy bieda lub kłopot przycisnął, tyle razy słowa Macieja na myśl stanęły. Nieraz też i wypadki same tak rzecz jasno przed oczy stawiły, że już myśleć nad nią nie potrzebowałem, tylko bez medytacyi zrozumiałem od razu, że wszyscy jednakowo mieć nie mogą na świecie, kiedy nawet w niebie równości takiej nie ma; bo powiedzcież gospodarzu, czy wam się widzi, że Święci Pańscy mają też władzę i toż samo znaczenie co i sam Pan Bóg?

— Ba! gdzież tam znowu — ozwało się kilka głosów naraz — toć wiadomo że Pan Bóg wszystko może, a Święci dopiero wstawiają się do niego za nami.

Ja im znów na to:

— Między Świętymi jeszcze są tacy, co więcej Panu Bogu zasłużyli, a drudzy co mniej. Bo Pan Bóg najsprawiedliwszy wynagrodzi każdego podług wielkości jego cnót i mnogości dobrych uczynków — i różne stopnie przeznacza w chwale swojej świętej.

Kiedy więc w samem niebie równości nie ma, jakżeż jej chcecie na ziemi? Jużcić żeśmy równi przed Bogiem, to jest prawda, bo ta równość o której xiądz mówi, nie zasadza się na tem, żebyśmy wszyscy jednakowo jedli i jednakowe suknie nosili, tylko o to idzie, żebyśmy wszyscy starali się zasługiwać na Królestwo Niebieskie, bo wszyscy jednakowo dostąpić go możemy, chociaż się każdy innym sposobem o nie starać musi, według tego jak mu Bóg przeznaczył....

— Ba! przerwał mi szpakowaty gospodarz — wolałby ja, żeby mnie Pan Bóg był przezaczył być wielkim panem, niżli tak jako dziś jestem, co grosz grosza goni, dorabiać się Królestwa Bożego.

Ja mu na to:

— Oj nie gadajcie gospodarzu, nie gadajcie! muszę wam aż chyba co na podobę powiedzieć, bo jak wam powiem prosto, że to wszystko na jedno wychodzi, czy być chłopem, czy sługą, czy panem, to mi nie dacie wiary. Oto posłuchajcie jak mnie się to widzi: kiedy wy waszej kobiecie żytnej mąki w żarnach zmielecie, toć od niej z tego nie wymagacie wielkanocnych placków; uda się chleb, to dobrze, a nie uda, to mrukniecie pod nosem: kobieta chleb drugi lepiej upiecze, a tamtego mała szkoda, krótki żal. Ale niechno wyście pięknej pszenicy młynarzowi spytlować kazali, a żona wam zamiast pięknych drożdżowych placków zakalczyste pagaje wyjęła z pieca, miałażby dopiero uczesaną głowę! Tak to pójdzie u Pana Boga. Co człeku dał, z tego też i rachować będzie; bo za dużo darów, wiele Bogu i ludziom oddać trzeba. Z niewiela łatwiejszy rachunek. Kiedy żem się rozgadał, to już będę prawił, a na wszystko wam odgadywał; macie powiedzieć za jedno, żem sprzeka, powiedzcież za więcej. Mówiliście gospodarzu: że pan w karecie a chłop na wozie; otóż ja wam powiem na to przysłowie, które mi się jakoś na prędce złożyło.

„Jedzie chłop i wesoły, choć u woza twarde koły,
A pana gniecie, choć w miękkiej karecie.“

Niechżeby który z nas wlazł w karetę, toć się w niej omało nie zadusi, i pocóż tam leźć gdzie nie dobrze? Niechże

pan jedzie na wozie to się z niego mało dusza nie wytrzęsie, że mu aż nieraz doktór radzić musi. A więc, kiedy nam dobrze na wozie, to na wóz nie narzekajmy, bo wóz przy zdrowiu więcej wart niż kareta przy chorobie. I na piękne przystrojenie przywodzę sobie na pamięć takie rzeczy, co i was przy pomocy Bożej przekonam. Bo to człowiek, widzicie, młodym będąc, jak sługiwał dworsko przy koniach, to się napatrzył różnych rzeczy co teraz na myśl przychodzą, jak się ku temu sposobność przydarzy. Nieraz w Mięsopusty swawoli było niemało, państwo się weselili sobie, a my sobie. Otoż była przy dworze dla panienek do posługi Baśka, jak złota dziewczyna, którą sobie później za żonę pojąłem Jak bywało Baśka włożyła modrą spodnicę a pąsowy gorset, kiedy kosę uplotła a w niej wstążek bez liku, toć człowiek oczy za nią gubił, a hoża, a wesoła, że aż czasem zanadto. Raz państwo wyjechali na zabawę w sąsiedztwo, a Baśka po koncept do głowy, i dalej się przebierać w sukienki pańskie. Namówiła też sobie Franka lokajczyka do takiego samego konceptu. I on też przestroił się w kusy tużurek, w okrągłą czapkę i w rękawiczki panicza i tak oboje pobiegli na folwark. Śmiechu też było śmiechu! ażeśwa się za boki trzymali; rychtyg małpy poprzebierane co widziałem w Krakowie u Miemców w małych szafeczkach, z któremi oni po mieście chodzą. Jak pierwsza wesołość minęła, a ja się Basi przyjrzał, aż mi się serce ścisnęło, jakby nie ta sama. A że już wtedy miałem władzę nad nią, bo to już wtedy było między nami po zrękowinach, więc jej zapowiedziałem, żeby mi się nie ważyła już nigdy takiego licha z siebie przestrajać, jeśli chce żebym ją pojął za żonę. Przyznam się nawet, żem się potem namyślił jeszcze trochę, czy warto takie dziewczę brać, co mu chodzą po głowie rzeczy do których nie stworzona; ale szczerze do niej przywiązany będąc i widząc że to tylko chwilowa wesołość, a nie żadna płochość, nie zmieniłem zamiaru. Albo to i z paniami nie takoż? to i u was muszą się także we dworze wyprawiać krakowskie wesela?

— Ba! ozwał się jeden z przysłuchujących się parobków. Czwarty rok temu było się i u nas czemu przypatrzyć, jak się zaczęli zjeżdżać do naszego państwa, to tacy panowie jeden

nad drugiego, wszystko jak nie w kierezyach to w nowiusieńkich sukmanach.

— No, rzekłem, a nie poznałbyś go choćby przy robocie, choćby w lesie, że to pan?

— O! jušci natychmiast, bo to mina, że choćby najzuchwalszy parobek to takiej nie ma.

— Więc ja wam powiem — wtrącił podeszły już w lata gospodarz — Widział ja, będzie temu lat ze dwadzieścia, w Jaśle, gdzie bardzo często jeździłem, bardzo dziwnego człowieka, który był kościelnym przy tamtejszym kościele parafialnym. Robił ci on wszystko jak inni kościelni, i z ludźmi nie pyszny, uchowaj Boże, i proboszczowi we wszystkiem jak najuleglejszy. ale takiego cosi już w nim było, żeś jeno spojrzał, toś w nim pana poznał. To też się potem pokazało, że z jakiejś aprensyi ślubował sobie tak Panu Bogu służyć w pokorze i w poniżeniu, ale że był jakiś pan, który majętność oddał biednym, a sam się przy kościele umieścił. Powiadali nawet ludzie, że razu jednego zajechał ktoś przed kościół koczem i z lokajem, i stanął, żeby się trochę pomodlić, bo kościół był otwarty, a kiedy zobaczył owego kościelnego, to go strasznie wyściskał a ten mu się wcale nie wzdragał i owszem ściskał go także jakby równego.

— To tedy — zapytałem — mówicie gospodarzu, że był z niego kiedyś pan, a majętności pozbył się, i dla ulżenia ciężkiego smutku wolał w ubóstwie życie pędzić? No! to ten przykład jest najwymowniejszy, że i bogatym ciężko na świecie być musi, kiedy niektóry zamieni bogactwo na ubóstwo i woli biedę a pracę w spokojności, niż skarby i próżności w troskach i nudach. A zresztą alboż wy jeden z drugim nie możecie zostać panem, albo wasz syn nie może nim być? Niech się jeno chłopak kmiecy uczy, niech chodzi do szkoły, a może zostać xiędzem, doktorem, urzędnikiem, a z czasem nawet wielkim panem. Alboż to za królów polskich kmiecy synowie nie dochodzili do sławy i majątku i honoru? A toć może z was który czytał książeczkę co się zwie Ludzie z pod słomianej strzechy. Toć tam wypisano dokumentnie, ile to chłopków wyszło na sławnych ludzi i panów przez naukę albo przez

waleczność na wojnie? Otóż nie zazdroście, nie zawidzcie, ale pracujcie w poczciwości, a będzie wam lepiej na roli, niż panom w pałacu.

Po chwili milżzenia, starszyzna pokiwała głową i jaki taki bąknął:

Kto w lecie pracuje, ma w zimie dość chleba,
Kto na świecie boleje, dokupi się Nieba.

Jeden zaś z wesołych chłopaków zaczął podśpiewywać:

Hej jak jest, hej jak będzie,
Miejmy cnotę na względzie.
A gdy Pan Bóg pozwoli,
Przejdzie życie powoli,
I w ostatnej godzinie
Wszystka bieda przeminie;
Lecz gdy kończy bogaty,
Ciężko rzucać bławaty,
Ciężko rzucać uciechy
Dla niepewnej pociechy.

Chleb polski.

Święć się wielki Boże w niebie,
A na ziemi polski chlebie!
Tobą to się kmieć obdzieli,
Od niedzieli do niedzieli!

Pierwszy kąsek dla matusi
Przewybornej wart gębusi,
A dla dziatwy kąsek drugi —
Nużc w koło stańcie sługi!

Na ci Bartku lepski chłopie!
A nie poleń się przy snopie!
Na ci Maćku nieboraku,
A pamiętaj o koniaku!

Ba i Kachnie
Widzę pachnie,
I Marynie
Przy kominie!

Na i tobie psie kudłaty,
A breszże mi koło chaty!

Resztę niechaj mać przysporzy,
Jeźli czeladź nie dołoży.
Święć się wielki Boże w niebie!
A na ziemi polski chlebie!

Wincenty Pol.

Historya o Bazylim i jego ukaraniu.

Opowiedział Józef z Bochni.

(Dokończenie.)

Gdzieś daleko od nas służył Bazyli za pomagacza w gorzelni! Za kilka szóstek na miesiąc pracował ciężko, bo mu głód dokuczać zaczął. Do wioski radby był wrócić, ale sumienie mu nie dało. Nosił wodę latem i zimą, a zawsze boso, bo nie było za co kupić obuwia. Przeziębił nogi, które mu się chwiały jak listki osikowe, a jednego poranku, gdy miał wstawać do roboty — nie mógł się ruszyć z miejsca. Nogi mu tak ztwardniały jakby z drzewa zrobione, to też nie czuł w nich żadnej władzy; niebawem może w tygodniu uschły mu jak badyle i nie było ratunku, aby się na nie podniósł kiedy Bazyli. I smarowali mu ludzie różnemi maściami one nogi, moczyli i cuda wydziwiali, ale to nic nie pomogło — opadły z ciała jeszcze bardziej, a w kolanach zrobiły mu się wielkie gule.

Rzewnemi łzami zalewał się Bazyli, przypomniał sobie złote słowa swojej żony, która mu mówiła, że nie tacy jak on byli na świecie a przyszło im na koniec — a już to widać z dopuszczenia Boskiego.

Właściciel gorzelni wydalił go ze służby, owoż Bazyli pod kościołem prosił o jałmużnę i z datków tylko miłosiernych ludzi utrzymywał się. Sumienie ani tu nie dało mu spokoju: wyspowiadał się nareszcie i postanowił jeździć po odpustach, aby przebłagać zagniewanego Boga.

Kupił sobie mały wózek, namówił małego chłopaka, który go ciągnął, bo sam byłby sobie nic nie poradził. Gdy jechali

pod górę, Bazyli długą, okutą laską odpychał wózek i tak pomagał biednemu chłopcu.

I był też Bazyli nie w jednem cudownem miejscu i nie tysiąc zmówił pacierzy, a gdzie tylko przyjechał, ciekawi ludzie obstępowali jego wózek do koła i przypatrywali się mu jakby iście widzieli, że na nim widać prawdziwe skaranie Boże.

I patrzyli ludzie na niego, a on siedział na wózku zapłakany, bo na ziemię zleźć nie potrafił; suchemi nogami klepał po drabinkach, a nie czuł bolu ani odrobiny, bo na nich na palec nie było ciała. Z kolan ciekła mu przebrzydła ropa, usta wykrzywiło mu nieznoście, a włosy na głowie miał zwite w paskudne kudły a inne jak istna szczeć stały do góry.

— O, mój Boże! — wołał kaleka — a pókiż ja jeszcze będę znosił takie męki, póki ja żyć muszę na tej ziemi!...

— A zkądeściewy dziadku? — pytali ludzie — cóż to stało się wam w nogi, że chodzić nie możecie?

A Bazyli jęknął bolesnym głosem i powiada:

— Oj nie potrzebujecie się mnie pytać co mnie w moje nogi, bo widzicie dokumentnie pokaranie Boskie.

A ludzie ciekawi raz się dopytują:

— A za cóż to skarał was Pan Jezus sprawiedliwy? toście wy jakiś grzesznik okrutny, kiedy na was taka przyszła kara!

A Bazyli zaraz odpowie:

— Oj grzesznik ci ja nie mały, toć i piekło dla mnie nie wystarczy. Posłuchajcie więc moiściewy, to ja wam o wszystkiem rozpowiem, a wyjdzie wam to na zbudowanie, mnie zaś na ulżenie mojego cierpienia. Oto widzicie, byłem ja przedtem silny jak niedźwiedź, zdrów i krzepki, żebym i dziesięciu pokonał. Miałem i dobytek ładny, ale kiedy wzrosła we mnie chętka do pijaństwa namnożyło się też kompanów koło mnie bez liku i oni to przywiedli mnie do takiego nieszczęścia.

— A gadajcież nam dziadku — wołali ludzie — jakim to stało się sposobem, bo nam się to w głowie pomieścić nie może!

A Bazyli tak im na to gadał z płaczem:

— Otóż siedząc zawsze w karczmie, takem się nakoniec spróżniaczył, że mi nic a nic robić się nie chciało. Chciałem

sobie łekkim potem żyć chlebem, wziąłem od żony pieniądze na kupno do Węgier, przemarnowałem je do grosza, a żebym bez niczego nie wrócił do chaty, z kompanem moim okradłem jeden dom Boży i za to tak mię okropnie upośledził Pan Jezus.

Głowa moja wygląda jak u świni, bo nie zdjąłem czapki w świątyni Pańskiej, nogi mię nie chcą słuchać, bo one mię zaniosły do onego świętego miejsca, gdzie popełniłem taką okrutną zbrodnię; i bolą mię teraz kości, kurcze łamią moje ciało, spać nigdy nie mogę, sumienie jakby ogniem pali mię ustawicznie, a we śnie i na jawie stoi mi przed oczyma żona moja i dziecko moje, których pokrzywdziłem, odleciałem od nich.... a kto wie co się z niemi dzieje do dnia dzisiejszego?...

I lamentował dziad Bazyli, jęczał i stękał, ludziom się ścisnęły serca, każdy westchnął i poszedł pomodlić się do kościoła, a kiedy Bazyli nazbierał grajcarków i namodlił się do sytości, kazał jechać młodemu chłopcu, bo sobie zrobił przyrzeczenie przyjechać do rodzinnej wioski i przebłagać żonę i dowiedzieć się, co się dzieje z jego synem.

I stanął Bazyli pod rodzinną wioską. Serce jakby dzwonem biło mu w piersi a na pamięć przyszły dawne czasy. Był sobie gospodarzem, panem swojego dobytku a teraz ukarany za łajdackie życie ani chodzić nie może po świętej ziemi ani weselić się jak cnotliwi ludzie. Zaćmiło mu się w oczach, toć ta piękna wioska, te śliczne góry i kościółek nad rzeką, wydały mu się jakby grobową płachtą okryte, wszystko zdawało się smucić nad jego dolą.

Wnet nadszedł ku niemu góral staruszek, a Bazyli zaraz go się dopytuje:

— Nie wiecie wy też przypadkiem czy w tem oto siole żyje jeszcze niejaka Bazylowa, po mężu Kutrzebina?

— Ale co wam się człowieku zdaje — odpowie góral — tać ona już dawno po tylu mękach spokojnie odpoczywa w grobie....

— A jakież to ona miała męki — przerwał Bazyli — powiedzcież mi moi kochani?

A góral na to chętnie odpowiedział:

— Przecież wiadomo całemu siołu jakiego ona to miała męża hultaja i łajdaka, który zniszczył cały dobytek i uciekł

gdzieś za dziesiątą górę i do dzisiaj ani słychu dychu nie ma o nim.... A czyż to pociecha mieć takiego męża?... Potem nieboraczka wycierpiała się długie czasy w okrutnych chorobach, nagryzła się Bóg wie jak wiele o swojego syna, a nareszcie za niegodziwego męża spuścił Pan Jezus srogą na nią plagę.

Kiedy jednego wieczora niebezpiecznie chora leżała w łóżku, spadła z gór ogromna bryła śniegu i do szczętu prawie zgruchotała jej chałupkę. Powała poraniła ją okropnym sposobem, owoż biedaczka jeszcze bardziej rozniemogła i niebawem umarła na łożu u swojego sąsiada. Został tylko Pawełek i żyje z łaski między ludźmi....

Po tych słowach rozdzierającym płaczem buchnął Bazyli i bezsilnie rzucił się na swój wózek.

— A co wam to dla Boga! — zawołał góral — Mnie duchem się zdaje, że to wy musicie być onym Bazylim.... O sprawiedliwy sądzie Boga! Uspokójcie się, przecież niebo pełne jest litości i dobroci.

Ale Bazyli ani słowa długi czas nie mógł wymówić, więc góral dalej poszedł swoją drogą — a potem Bazyli ruszył także do wioski.

Zajechał do wójta, a wójt zaraz wykrzyknął:

— O Matko Boska! toście wy Bazyli tego dosłużyli się w waszem życiu?

A Bazyli zamiast odpowiedzieć na to, wyjmuje z zanadrza szmatę, rozwija, daje wójtowi uskładane papierki i powiada:

— Macie tu dobry wójcie ofiary pobożnych ludzi, postawcie za nie w waszej wiosce kapliczkę jaką, niech się modlą w niej ludzie, aby im Bóg dał upamiętanie, iżby tak nie robili jak ja dawniejszemi laty, bo cierpieć srodze będą musieli.

Nie za długo zniknął Bazyli, nie pożegnał się ani ze swoim synem i odtąd nikt o nim nie słyszał — przepadł jak kamień we wodzie.

Gromada dołożyła do onych pieniędzy co nieco, wystawiła więc tę murowaną kapliczkę, umieściła w niej frasobliwego Pana Jezusa, a wszyscy modlą się tu teraz gorąco, toć też pijaństwa, rozpusty i kradzieży nie uświadczysz między naszym ludem.... Owoż taka to historya o tej kaplicy.

Próba przyjaciela,

czyli

Jak Maciej umierał — a Jacek do skrzyni się dobierał.

Nie ma nic gorszego nad fałszywego przyjaciela, co to udaje, że człeku z całego serca jest życzliwy, a po prawdzie to na to tylko dybie, aby zysk jaki zarwał od tych, co mu zawierzą. Ale taki obłudny przyjaciel zawsze się z czasem zdradzi i odbierze za swoje. Bo stara to prawda i święta, że wszystko złe, choćby Bóg wie, jak się ukrywało, wyjdzie na wierzch i pokaranem będzie.

A jak takiego jednego albo drugiego obłudnika napotka kara i wstyd, to go i żałować nie ma co, bo fałszywy przyjaciel gorszy od otwartego wroga, bo tego człek się zawsze ustrzedz może, a tamten łasi się i schlebia a fałsz ma w sercu.

Opowiem wam jak stary Maciej zrobił z jednym takim fałszywym przyjacielem. Ten Maciej to był bardzo bogaty kmieć, miał grosza i dobytku jakby dziedzic jaki, ale miał jeszcze coś takiego, co sto razy więcej warta od majątku — miał rozum w głowie nielada.

Owoż Maciej miał sąsiada Jacka, człeka bardzo chciwego i chytrego, co tylko tem sobie głowę smażył, jakby tu gdzie coś wydrzeć i wytumanić od poczciwych ludzi. Jacek wiedział dobrze, że Maciej sobie gospodarz bogaty i dla tego zachodził koło niego, jak kot koło sadła, i pochlebiał mu jak tylko mógł.

— Ja wasz najlepszy przyjaciel — mówił zawsze Jacek do Macieja — nikt wam tak dobrze nie życzy, jak ja który was kocham jak rodzonego ojca!

I nie ma co mówić, Jacek kochał jak rodzonego ojca, ale nie Macieja, jeno jego pieniądze. A trzeba wiedzieć, że Maciej był wdowcem a nie miał ani dzieci ani krewnych, więc sobie Jacek myślał, że jak mu się będzie pochlebiał, to mu Maciej majątek przy śmierci zapisze.

Ale źle się wybrał brzydki obłudnik. Maciej nie w ciemię był bity, poznał on od razu, że te wszystkie słodkie słówka Jacka, to fałsz i obłuda a nic więcej, i tak sobie myślał:

— Poczekajno fałszywy Judaszu, zajdę ja cię z mańki, że mnie wspominać będziesz póki żyjesz!

Więc też Maciej nie wydawał się przed Jackiem, że zna dobrze jego fałszywe serce, ale umyślnie tak udawał, jakby Jackowi wierzył na ślepo i miał go za prawdziwego przyjaciela. Jacek też myślał sobie na pewno, że mu Maciej wierzy jak najlepszemu przyjacielowi i mówił nieraz sam do siebie:

— Chwała Bogu, że ten stary Maciej taki dureń. Przysiągłby na wszystko, że ja mu najżyczliwszy — a jak kłapnie i zejdzie z tego świata, to kto wie czy mi się niedostaną jego grunta i pieniądze!

Tak jakiś czas trwało, aż nareszcie sprzykrzyła się Maciejowi ta fałszywość i obłuda Jacka — i oto posłuchajcie, co mu zrobił.

Razu jednego położył się Maciej w łóżko, zawołał cyrulika i udawał, że okrutnie słaby. Jęczał i stękał strasznie, jakby go już śmiertelna choroba zachwyciła. Wysłał parobka do Jacka, aby coprędzej przyszedł go odwidzić.

Jacek, jak się tylko dowiedział, że Maciej ciężko zaniemógł, uradował się okrutnie i pomyślał sobie:

— Pewnie stary zadrze nogi a kto wie, czy mi swego majątku nie zapisze!...

I mając takie grzeszne i chciwe myśli w sercu, udawał na pozór, że się strasznie strapił chorobą Macieja. Lamentuje tedy fałszywiec przed parobkiem, że biedny Maciej tak ciężko zaniemógł i bieży co tchu do jego chaty.

Przychodzi do izby, a tu Maciej leży na łóżku i stęka okrutnie, aż się serce kraje.

— A na Boga świętego, co wam Macieju? — zawołał Jacek i udawał strapionego a tymczasem radował się w duchu.

— Oj! oj! miły sąsiedzie — odpowiedział Maciej cichym głosem — już nie pożyję na świecie jak kilka godzin! Oj! oj! oj! jak mię boli pod sercem! Oj! oj! nie wytrzymam!

— Ej nie gadajcie tak, nie gadajcie miły sąsiedzie, bo mi serce pęknie z żałości. Toć gdzie ja znajdę takiego przyjaciela, jak wy! A cóż ja pocznę, jakby wy niedaj Boże umarli! Oj jabym nie długo bez was wytrzymał na świecie!... — lamentuje obłudny Judasz Jacek i niby sobie łzy z oczu obciera!

A Maciej stęka i jęczy okropnie, i mówi do Jacka:

— Oj! oj! Gwałtu! Ja wam wierzę, och! och! że wy mój dobry przyjaciel, aj! aj! i dla tego was tu zawołałem aby.... aby.... och! aj! sssy! dech mi zapiera!...

— Mówcie! mówcie! — woła Jacek — ja wszystko wypełnię, coby ja dla was niezrobił!

— Otóż widzicie, drogi sąsiedzie — mówi coraz słabszym głosem Maciej — ja już umieram! oj! oj! ach! ach! Nie mam dzieci, aj, gwałtu! ani krewnych, och! ach! W tej skrzyni pod piecem są moje pieniądze och! ach! uf! aj! oj! Ja przed rokiem jeszcze spisałem testament... ale nim go urząd dostanie do swych rąk, ach! oj! ach! to gotowi mi z skrzyni sługi wykraść wszystko. Nie mam się na kogo spuścić! Oj, aj! ginę! Oto macie klucze od skrzyni, pilnujcie ją! aż urząd odczyta mój testament.... Oj, aj, aj, aj! Bą-bą-bą-dź — bą-bądźcie zdro-o-o-wi!...

I Maciej stęknął raz jeszcze, dał klucze Jackowi, wstrząsł się cały, drgnął i umarł...

Jacek jak to zobaczył, był pewnym tego, że Maciej nie żyje.

— Aha — zawołał — przecie raz! Już ja twojej skrzyni i pieniędzy popilnuję!

I chwycił za klucze, popatrzył raz jeszcze na Macieja, a widząc, że leży akuratnie jak trup, posunął się do skrzyni, otworzył ją i począł przewracać w skrzyni co prędzej za pieniądzmi. Nareszcie domacał ich na samym dole pod kożuchem i sukmanami. Był to cały pęk papierów, a same piękne dziesięcioreńskówki, aż miło!... Chwycił więc te pieniądze i już miał je chować do kieszeni, kiedy naraz Maciej porwał się z łóżka i począł wołać:

— Złodziej! złodziej! hej ludzie! łapcie ziodzieja!

I Maciej nagle stał się zdrowy jak ryba — a na krzyk jego zbiegli się parobki i schwycili na gorącym uczynku Jacka, który z okrutnego przestrachu ledwo już dyszał! Zaraz go związali i na podwórze wywlekli, a Maciej, co był zdrowiuteńki, ubrał się rychło i wyszedłszy za nim, mówi:

— A widzisz Judaszu! choć ty chytry, to i ja nie głupi! Otóż masz teraz wstyd za twój fałsz i obłudę! My-

ślałeś, że ja umarł na prawdę a aniś mi oczu nie zamknął, tylkoś się zaraz do skrzyni dobierał! Otóż taki ty przyjaciel! Ale trafiłeś na swego. Teraz już ludzi zwodzić nie będziesz! Mógłbym cię oddać do sądu, ale daruję ci jeszcze, dość ci na wstydzie i na pośmiewisku!

I kazał rozwiązać i puścić Jacka, który jak pobiegł do domu, tak przez cały miesiąc nie wychodził na świat boży ze wstydu. A nie tylko cała gromada ale i na kilka mil w około wszyscy się śmieli z tego figla, co go mądry Maciej spłatał fałszywemu swemu przyjacielowi.

Stary Maciej, choć tak dobrze umiał udawać umarłego, żył w zdrowiu długie jeszcze lata, a kiedy umarł na prawdę, to zapisał cały swój majątek na szkółkę i szpital gromadzki.

Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie. Był to mądry człek nie lada, kiedy sobie tak szykownie zadrwił z chciwego obłudnika!

Wojtek ze Smolnicy.

RÓŻNOŚCI.

Jako papież ogłasza jednego Polaka męczennika za świętego. Z Rzymu, gdzie Ojciec św. mieszka, stała się dla polskiego narodu i kościoła katolickiego ważna nowina. Oto Ojciec św. zabiera się do kanonizacyi, to jest do uznania za świętego jednego z patronów kraju naszego, błogosławionego Józafata Koncewicza, arcybiskupa polockiego i męczennika. Ten święty syn ojczyzny naszej żył przed dwustu sześćdziesiąt laty. Urodził się roku 1584 w mieście Włodzimierzu na Rusi polskiej

Opowiadają, że kiedy był jeszcze mały, z wizerunku Zbawiciela padła iskra na jego piersi, jak żeby go miłością Bożą zapalić. Doszedłszy do lat, wstąpił Józafat do zakonu Bazylianów; a był to zasłużony zakon obrządku unickiego i obfitujący w ludzi świętobliwych. Obrządek zaś unicki, to obrządek Rusinów polskich, którzy dawniej przed wieki byli dobrymi katolikami, potem dali się obałamucić przez syzmatyków, czyli odszczepionych od kościoła Moskali a w końcu za króla polskiego Zygmunta III., wtedy kiedy Józafat był jeszcze małem dziecięciem, unię, to jest jedność ze Stolicą Apostolską uczynili w ten sposób, że uznali papieża zwierzchnikiem swoim a papież im pozwolił nabożeństwo po rusku odprawiać.

Wtedy gdy Józafat został zakonnikiem, rządził kościołem unickim w Polsce bardzo pobożny i uczony arcybiskup, nazwiskiem Welamin Rudzki. Starał się on gorliwie, aby jak najwięcej syzmatyków pogodzić ze świętym rzymskim kościołem. Pomagał mu Józafat z całego serca, a Pan Bóg obu błogosławił. Józafat

tylu syzmatyków nawrócił, że go zatwardziali syzmatycy nazywali porywaczem dusz. W roku 1617 Józafat wielbiony powszechnie został arcybiskupem połockim. Ciągle on w winnicy pańskiej pracował, o siebie się nie troszcząc.

Nie mogli tego ścierpieć źli ludzie i jak żydzi za poduszczeniem Szawła umęczyli świętego Szczepana, tak syzmatycy umęczyli okrutnie arcybiskupa Józafata za namową Melecego Smotrzyckiego. Stało się to w roku 1623 w mieście Witebsku, należącem do dyecezyi połockiej.

Ale jak Szczepan uprosił sobie u Pana Boga, że Szaweł zmienił się się w Pawła św., tak i męczennik Józafat w okup krwi swojej męczeńskiej otrzymał, że Smotrzycki został potem najgorliwszym katolikiem, wybranem narzędziem Bożem.

Arcybiskup Józafat poniósł śmierć męczeńską dnia 12. listopada. Ciało jego wrzucono w rzekę Dźwinę. Odszukano je później i pochowano w katedrze połockiej a papież Urban VII. żyjący naówczas policzył go w poczet błogosławionych męczenników w roku 1642. Ciało błogosławionego długo spoczywało w Połocku, wywieziono je potem do Białej w podlaskie, gdzie spoczywa spokojnie do dziś dnia nie zepsute w kościele Ojców Bazylianów.

Klasztor tych Bazylianów Moskale teraz zabrali i ani przewidzieć, co się stanie ze świętemi relikwiami. Ale drogi Boże przedziwne. Właśnie kiedy rząd moskiewski poznosił klasztory w Polsce, w Rzymie za sprawą Ducha świętego czyniono starania, aby błogosławionego męczennika Józafata świętym uznać.

A taka jest różnica między błogosławionymi i świętymi, że kiedy błogosławionych tylko w kraju, w którym żyli, albo w zakonie, do którego należeli, czcić wolno, świętych z rozkazania Stolicy Apostolskiej czci cały kościół katolicki. Więc o to chodzi, że Stolica Apostolska ma naszego Józafata świętym ogłosić. Przygotowania już się czynią.

W tych dniach we wtorek 10go stycznia miało się odbyć w Rzymie w obecności Ojca św. zgromadzenie kardynałów i księży, którzy należą do kongregacyi Obrzędów. A ta kongregacya to jest jakby sąd duchowny i zajmuje się sprawami kanonizacyi świętych. Mieli tam stanąć przed Piusem IX. dwaj postulatorowie, niby obrońcy sprawy błogosławionego Józafata. Jeden Polak, Ojciec Michał Dąbrowski, starszy zakonu Bazyliańskiego, który lat temu dwadzieścia musiał uciec przed prześladowaniem moskiewskiem, a od osiemnastu lat mieszka w Rzymie przy kościele N. Panny Żyrowickiej i jest człowiek pobożny a wielkiej zasługi przed Bogiem i przed ludźmi, i drugi Włoch Ojciec Michał Contieri także starszy bazyliański z klasztoru Irota Feratta pod Rzymem, gdzie znowu są Bazylianie greccy nie polscy i oba ci duchowni mieli prosić Ojca św., aby ogłosił błogosławionego Józafata świętym i pozwolił uroczyście kanonizacyą, to jest obrząd ogłoszenia w przesławnym kościele św. Piotra obchodzić. Papież w takich przypadkach dopiero w dni kilka, a modli się ciągle przez ten czas, wyrok, o jaki go proszą, wydaje. Wszelako możemy się spodziewać, że wyrok taki niezawodnie nastąpi. I tak liczba świętych polskich znowu się o jednego świętego pomnoży, co będzie prosił u Boga za naszą Polską!

Sz. Niedz.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.